

Z dziejów kapitalistycznej restauracji w Polsce

Podczas święta wolności, w 30. rocznicę wyborów 4 czerwca 1989 r. mówiono o wielu ważnych sprawach kojarzonych z polską transformacją. Udało się nie zaniedbać samorządności lokalnej, niepodległości, bezpieczeństwa międzynarodowego, demokracji, rządów prawa, jedności Europy, praw mniejszości ani nawet kultury i kosztów społecznych przemian. Zabrakło tylko jednego, za to głównego bohatera wydarzeń sprzed trzech dekad. Zapomniano o kapitalizmie.

Rocznicowe przeoczenie z 4 czerwca jest skądinąd bardzo wymowne. W '89 także nikt o kapitalizmie nie mówił. Nikt go nie wybierał, ani o niego nie pytał. Tymczasem, choć wywalczyliśmy sobie wybory i demokrację, to już o tym jaki był zakres możliwego wyboru i co realnie zmienić mogła władza ludu przesądziło coś innego. To kapitalizm, a precyzując - wybór jego neoliberalnej wersji, zdecydował o kształcie i kondycji polskiej demokracji, o statusie i stopniu poszanowania praw człowieka, w tym szczególnie praw społecznych, o sile społeczeństwa obywatelskiego, o charakterze kultury politycznej. Dlatego zamiast powtarzać tezę o abstrakcyjnej transformacji systemowej, powinniśmy wreszcie nazwać rzeczy po imieniu i zacząć mówić o restauracji kapitalizmu.

Uświadomienie sobie tego faktu ma zasadnicze konsekwencje dla interpretacji minionego trzydziestolecia. Pozwala inaczej postawić kwestię władzy ludu, a także społecznego kryzysu transformacji i jego konsekwencji w postaci dojścia do władzy nacjonalistycznej prawicy.

Pozwala np. przyznać, że prawdziwe święto demokracji w Polsce miało miejsce dekadę wcześniej - między sierpniem 1980 a grudniem 1981 r. Nieprzypadkowo demokratyczna rewolucja w PRL ucieleśniła się w masowej mobilizacji pracowników, w klasowej rebelii przeciw wyzyskowi i dyktaturze, w imię równości i samostanowienia na poziomie zakładów pracy, branż i kraju (i w takiej kolejności).

W roku 1989, po stanie wojennym, latach represji i zniechęcenia, działała już zupełnie inna dynamika. O ile w krajach takich jak Czechosłowacja, NRD czy

Rumunia transformacja dokonała się pod naciskiem masowych protestów, o tyle w Polsce wstępem do niej było wygaszenie, przez liderów opozycji, dużej fali strajków latem 1988 r. To było ważniejsze niż Okrągły Stół i Magdalenka. Kwestia kto i z kim będzie akumulował kapitał w ramach systemowej restauracji miała wtedy znaczenie trzeciorzędne. Ważne było, że taka akumulacja nastąpi, i że odbędzie się kosztem klas podporządkowanych. Co do tego zaś zgadzały się wszystkie duże siły polityczne w Polsce, na czele z prawicą i Kościołem przebijającym nóżkami na samą myśl o reprivatyzacji.

Rzecz jasna nie był to proces jednostronny. Kapitalistyczna restauracja napotkała zorganizowany i spontaniczny opór ze strony pracowników. Wielka fala strajków lat 1991-1993, choć pozbawiona politycznego wsparcia i koordynacji, była na tyle silna, że wysadziła z siodła dwa rządy postsolidarnościowe, wynosząc do władzy postkomunistów z SLD. Ale waga tego ruchu jest większa. Dzięki masowym protestom polski kapitalizm nie poszedł w stronę oligarchii w stylu rosyjskim, czy latynoamerykańskim, a przecież opcja taka była realna. Ostrzegał przed nią np. Karol Modzelewski.

Powinniśmy też inaczej spojrzeć na społeczne koszty przemian po 1989. Dziś dominuje tu narracja o wykluczonych i zapomnianych. Zakłada ona, że ogólny kierunek zmian był słuszny, a za masową pauperyzacją i bezrobociem stały uprzedzenia, oraz niekompetencje rządzących i rządzonych. Pierwsi, w rewolucyjnym zapale niesłusznie spisali na straty PGR-y, drudzy nie dojrzeliby do rynkowej normalności. Obie te tezy są fałszywe.

O tym, że pracownicy, niezależnie od swego entuzjazmu dla „kapitalizmu wyobrażonego”, znaleźli się na przegranej pozycji zadecydowała odbudowa władzy klasowej na bazie monopolu własności. To nierówność ekonomiczna i antagonizm klasowy wpisane w naturę kapitalizmu odpowiadają za długi kryzys transformacji lat 1990-2004. Dokonywała się wtedy imponująca akumulacja pierwotna, skutkująca wzrostem PKB, inwestycjami zagranicznymi i ekspansją sektora finansowego. Jej warunkiem było wywłaszczenie klas pracujących z dóbr wspólnych, a zatem forsowna prywatyzacja, deregulacja i liberalizacja wymiany oraz pacyfikacja wszelkich form demokracji społecznej, ze związkami zawodowymi, radami pracowniczymi i mechanizmem układów zbiorowych pracy na czele.

Utrata tych zdobyczy, przez lata prezentowana jako „konieczne koszty

transformacji”, wypłukała formalną demokrację z treści społecznych. Poza rosnącymi nierównościami, pauperyzacją (59% populacji poniżej minimum socjalnego w 2003 r.), dwoma dekadami dwucyfrowego bezrobocia, a obecnie prekaryzacją i fenomenem pracujących biednych – pociągnęło to także konsekwencje polityczne. Deficyt społecznej demokracji stał się jedną z głównych przyczyn triumfu prawicowej hegemonii na scenie politycznej i ideologicznej. Nie byłaby ona możliwa, gdyby nie jawnie antydemokratyczny kurs neoliberalnych reformatorów z premedytacją odpolityczniających polityki ekonomiczne i społeczne (a zatem wyjmujących je spod kontroli demokratycznej). Z kolei dominujące w kulturze ery transformacji połączenie ideologii indywidualnego sukcesu, „bezklasowego społeczeństwa klasy średniej” z wrogością do wszystkiego co egalitarne, wspólnotowe i odwołujące się do klasowej solidarności, stało się mieszanką wybuchową. W chwili, gdy dla dużej grupy niższej klasy średniej obietnica sukcesu prysła w konfrontacji z falami kryzysu i siłami globalnego kapitalizmu, reakcją stał się wściekły faszystowski resentyment, fala nienawiści do demokracji i pogardy dla słabszych.